Martyna 6

Rozdział 6

W którym okazuje się, że historyczna ignorancja zapewnia rześkość umysłu i powodzenie operacji

Martyna spała i śniła. W jej uśpionej czarno-białej jaźni pojawiała się z niepokojącą częstotliwością jej była nauczycielka historii.

Zielona, sięgająca nieba katedra nauczycielska przytłaczała Martynę swym majestatem. Liczne szufladki skrywające tajemnice pokoleń pedagogów trwały w wymownym milczeniu, podczas gdy z wyżyn górnego blatu rozszedł się drwiący głos generowany przez dziwną postać z twarzą Lucka. Na głowie stwór miał przepaloną trwałą typu baranek. Martyna malała z każdą sekundą snu i była bliska samozachowawczego wpełznięcia pomiędzy deski podłogi, lecz natarczywe spojrzenie zjawy hipnotyzowało ją, odbierając resztki racjonalnego myślenia. Instynkt kazał jej upłynnić żyletkę służącą do wydrapywania dwój w dzienniku już wcześniej, więc dowód zbrodni spoczywał bezpiecznie w piórniku kolegi Dariusza. Teoretycznie poczucie bezpieczeństwa powinno skoczyć w górę, jak Dow Jones przed każdą z amerykańskich ofensyw wojskowych, lecz Martyna, z natury będąc istotą nieufną i ze wszech miar krytyczną wobec otaczających ją splotów sennych mar, napięła swe nerwy w oczekiwaniu na miażdżące pytania, które, rzecz jasna, nadciągnęły wkrótce jak czarna chmura gradowa.

– Nazwisko! – zabrzmiała zielona katedra.

– Piwowska – wyjąkała z przerażeniem Martyna.

– No! – odparła z niezrozumiałą dla młodocianej uczennicy satysfakcją ufryzowana alkoholiczka.

Dziewczyna stała sparaliżowana kilka kroków od katedry i ciężko przełykając ślinę bezwiednie wpatrywała się w tablicę, w której stronę wiodły trzy otulone nieomal zabytkowym linoleum schodki. Z katedry łypały na nią spod zwężonych powiek złośliwie i badawczo kontrolujące pomieszczenie oczy. Z wyszminkowanych na różowo ust wydobył się i po chwili okrążył salę podstępny syk:

– Podejdzie do tablicy i będzie pisać daty wybitnych wydarzeń historycznych.

Nasza niedoszła psycholożka, choć wówczas raczej niedoszła absolwentka podstawówki, zerknęła w stronę schodków i powoli, z ociąganiem ruszyła w ich stronę. Każdy kolejny krok ranił pogodę ducha jak korona cierniowa, a perspektywa zalanych czerwcowym słońcem schodków nasuwała natrętną wizję idących na szafot Marii Antoniny i Anny Boleyn. Skumulowana na krześle za katedrą złość bawiła się nożyczkami i Martyna mogłaby przysiąc, że dostraja chrzęst ostrzy do jej kroków.

Martyna, wstępując na schodki, użyła wszelkich mocy, wyczerpując jednocześnie wszelakie zaklęcia obietnicy. Topór zbliżał się nieuchronnie, co postawiło pod znakiem zapytania głęboką wiarę naszej bohaterki w sprawczą moc obietnic targowanych z nieuchronnym losem.

Zaklęcia obietnicy

Trudno przedstawić wiarygodną genezę ich powstania. Pewne jest jedno: człowiek w obliczu wydarzeń ekstremalnych, szepcze w duchu zgoła absurdalne obietnice, które zamierza zrealizować, gdy dłoń opatrzności po raz kolejny uratuje go opałów. W życiu Martyny, dotychczas usłanym różnym kwieciem, z przewagą kolczastych róż, zaklęcia obietnicy były czynnikiem, który stymulował naszą niedoszłą psycholożkę do zaskakującego działania wbrew woli rozumu i

niewiarygodnie rozsądnego instynktu samozachowawczego.

I tak:

1. Spadając z nocnika i zalewając spuszczone do kostek śpiochy jego zawartością, Martyna obiecała sobie, że odda różowego królika, byle tylko równie upokarzające zdarzenie się nie powtórzyło.
2. Wędrując do przedszkola, nasza bohaterka obiecała wyższym instancjom, że będzie grzeczna już zawsze. Powyższe miało zaowocować pojawieniem się mamy, która powinna zabrać Martynę z przedszkolnej stołówki i oszczędzić jej widoku wymiotującego owsianką Marcinka. W zamian zdezorientowana nieletnia deklarowała dożywotnią abstynencję od radzieckich cukierków z wizerunkiem wielbłąda na szeleszczącym papierku.
3. W obliczu niepokojącego spaceru w stronę szarego budynku Martyna obiecała sobie i gubiącym pierwsze liście drzewom, że przyklei do nich owe liście z powrotem, jeśli uda się odwrócić czas i tuż przed godziną ósmą zostanie zaprowadzona do przedszkola zamiast do pełnego rozwrzeszczanych siedmiolatków ponurego, szkolnego gmachu.
4. Po szkolnej dyskotece Martyna, wpatrując się w lustro szkolnej toalety, przysięgła, że jeśli wyższa instancja zmaże z jej smutnej twarzy pierwsze symptomy dojrzewania i przymusi Dariusza do przychylnego uśmiechu w jej stronę, to przypięty szpilkami święty obraz Madonny spłonie wraz z kilkoma innymi plakatami z Bravo w intencji pięknej cery.
5. W trakcie wyczerpujących egzaminów do liceum Martyna, wpatrując się w zarys siedzącego przed nią sąsiada z podwórka, wysyczała mu obietnicę dożywotniego zaopatrywania w oranżadki w proszku, jeśli tylko przesunie się lekko w prawą stronę i ujawni jej tajemnicze efekty swoich zmagań z matematyką.

Teraz, wstępując na szafot, Martyna zaklinała w myślach

historyczkę, obiecując jej w duchu, że nigdy nie rozpowie słów pana Czesia, fryzjera, zgodnie z którymi barankowa fryzura była atrapą, kamuflażem i podstępną peruką. Nasza krętaczka miała świadomość, że tym razem zaklęcie obietnicy było zdecydowanie jałowe. Stawiając stopę na ostatnim schodku, Martyna ostatecznie oswoiła się ze świadomością, że jej rejs w stronę zielonej tablicy ma bezpośredni związek z czasem dokonanym, czego dowodem są rozchichotane szepty szkolnych korytarzy na temat fryzjerskich tajemnic pana Czesia. Nic już nie mogło jej uratować. Przystanęła w odległości niespełna metra od tablicy i ujmując drżącą dłonią kredę, spoglądała nieufnie spode łba w kierunku szczytu katedry.

– Napisze datę wybuchu wojny – rzucił donośnie „baranek”.

– 1939 – wyskrobała z piskiem kryzysowej kredy drżąca dłoń Martyny.

– W dupie była i gówno widziała!

– Jak to? Pani profesor?

– A tak to! Sprecyzowałam której? – parsknęła złośliwie nauczycielka i dodała z niekłamaną

satysfakcją. – Napisze datę powstania!

– 1830 – naskrobała koślawo Martyna.

– W dupie była i gówno widziała! – powtórzyła ulubione powiedzonko nadęta postać z wyżyn katedry i oczywiście dodała – A powiedziałam, które powstanie?

Martyna skrobała nerwowo paznokciami kryzysowy fragment kredy dotychczas zaciskany w dłoni.

Gotując się na ostateczny cios, najeżyła się wewnętrznie i postanowiła nie poddawać się bez walki.

– Proszę podać datę obalenia monarchii!

– 17 czerwca 1991 – napisała po chwili wahania Martyna.

– Że co? Co chciała przez to powiedzieć? – zapytała zaintrygowana nauczycielka, w której mimo

woli odezwał się duch edukacji.

– Jutro idę na kontrolę do pana Mariana, naszego dentysty – odpowiedziała spokojnie klasowa manipulantka.

– Idzie na miejsce i się nie kompromituje więcej! – wrzasnęła bogini zielonej katedry i bezwiednie

pomasowała się dłonią po nienaturalnie wysuniętej szczęce.

Martyna podreptała skwapliwie w stronę ławki, która momentalnie zaczęła się przeistaczać w pokryte purpurą łoże. Z oddali dochodziło do jej skołatanego umysłu złowieszcze klekotanie. Odwróciła się i ujrzała historyczkę sunącą jak łyżwiarka po szkolnym linoleum. Jej sztuczna szczęka kłapała rytmicznie, a jej demoniczny rechot zalewał kaskadą szyderstwa niespokojny sen Martyny.

Zaspane dziewczę usiadło gwałtownie i zogniskowało tępe spojrzenie na drzwiach kokpitu. Czas odgonić duchy i wziąć się do roboty. Martyna postanowiła zignorować napływającą z sennej strony świata wiedzę historyczną i obiecała sobie solennie, że takie pierdoły w żadnym wypadku nie będą miały wpływu na rześkość jej nieprzeciętnego umysłu i na powodzenie operacji. Owa bezcenna myśl pierzchła oczywiście nieomal w sekundzie swoich narodzin, rozproszona przez natarczywe ssanie w żołądku.

Martyna stłumiła w sobie z łatwością poczucie obowiązku i gnana wilczym głodem zbiegła do komfortowo wyposażonej kuchni. Niepomna hollywoodzkich traum wyciągnęła ze spiżarni paczkę jajek. I nie myślcie sobie, że nie poszła do chłodni po kiełbasę w obawie przed amerykańskim zwyrodnialcem z wielką

kosą z Sierpuchowa. Powód zaniechania był zgoła bardziej prozaiczny: nasza bohaterska ratowniczka świata nie jadała mięsa, więc wizyta w przybytku zmrożonych zwłok była kompletnie zbędna. W ogólnym rozrachunku jajecznica z samych jajek na masełku i ze szczypiorkiem urwanym z doniczki stojącej na kuchennym parapecie była dokładnie tym, czego potrzebowała. Jajka dodawały otuchy, skwiercząc swojsko na patelni i roznosiły w najdalsze zakątki statku niebiańskie aromaty, podczas gdy znaleziony w zamrażalniku chlebek tajał posłusznie. Szczypta przypraw otulających troskliwie jajeczną masę wynosiła boski aromat w górne rejony obiektu. Martyna kwiknęła z radości i właśnie ustalała kąt natarcia widelca, gdy w głośnikach, o których istnieniu nasza bohaterka nie miała, rzecz jasna, pojęcia, zazgrzytał głos Środkowego.

– Martyna! Hmm, to znaczy… już czekamy na ciebie. Ładnie pachnie, ale musimy ustalić priorytety. Gdybyś była tak łaskawa i pojawiła się w kokpicie…

Martyna zassała pierwszy kęs jajecznicy i żując drobiny szczypioru, zerknęła wyzywająco w oko kamery. Jajeczna rozkosz roznosiła się po jej podniebieniu, chwilowo rekompensując żenujący niesmak powracający falami po zagadkowym bycie historyczki w jej niezawisłych marzeniach sennych. Nasza niedoszła psycholożka odczuwała egzotyczne dotąd przeświadczenie, że w jej fascynujący byt zakradła się Manipulacja, która obecnie śledziła jej ruchy w kryształowym lustrze salonu i w irytujący sposób zakłócała płynne ruchy pracowitych szczęk. Martyna, nienawykła do przedkładania obowiązków nad przyjemności życia, przymknęła na chwilę oczy i przeprowadziła ekspresowy rytuał spychologii zachowawczej, który sprawił natychmiastowy wzrost poziomu zadowolenia z życia.

Spychologia zachowawcza

Jeśli mamy rozpatrywać ów mechanizm na przykładzie

naszej pożeraczki jajecznicy, to należy cofnąć się na chwilę do jej burzliwego dorastania, obfitującego w liczne i drobne, lecz wielce traumatyczne wydarzenia. Martyna zawsze przejmowała się bzdetami, którymi zjadacz chleba w Europie Środkowej z zasady się nie przejmował. Ciężko żyć w stanie wiecznego podenerwowania, więc nasza bohaterka wypracowała sobie kilka złotych dewiz życiowych, które lepiej lub gorzej, ale sprawdzały się w kolejach jej losu, nim znalazła antidotum na swoje bolączki:

1. Się zdąży rano.
2. Jak zapomniałam i świat się nie zawalił, to znaczy, że ważne nie było.
3. Skoro jest już 7.45, to umyję tylko grzywkę, bo z tyłu nie widzę.
4. Prawo zazwyczaj nie działa wstecz.

Zasad i argumentów było więcej i ewoluowały w zależności od sytuacji i potrzeby, jednak prawdziwie złoty środek Martyna odnalazła w pobliskim sklepie i konsekwentnie odtruwała jego złocistością wszelkie bolączki świata.

Po spokojnym wytarciu talerza skórką chleba Martyna wstała od stołu i przeciągnęła się błogo. Jej poddany spychologii mózg wysłał pojedynczy sygnał całkowitego zadowolenia do wszystkich mięśni całkiem jeszcze zgrabnego ciała. Dostojnym i leniwym krokiem poszła do łazienki i oddała się godzinnemu dopieszczaniu swej ziemskiej powłoki, pobieżnie tylko sprawdzając, czy i tu na ścianach również zainstalowano kamery.

Jak zwykle podczas wielce satysfakcjonującego nieróbstwa w pachnącej pianie mózg Martyny, pozornie tylko rozleniwiony, porządkował wszystkie bieżące dane i archiwizował w najdalszych rejonach łepetyny te mało istotne oraz te,

których ciężar został znacząco zredukowany wirusem spychologii. W centralnej części mózgu zawsze pozostawały sprawy priorytetowe.

Trudno się więc dziwić, że po opuszczeniu łazienki Martyna niezwłocznie wróciła do kuchni, stanowczym ruchem otworzyła lodówkę i pedantycznie sprawdziła datę przydatności do spożycia każdej puszki z browarem. Z cierpliwością tkaczki kilimów poukładała je wszystkie w rządkach tak, by te z krótszym terminem ważności spoczywały najbliżej niecierpliwych rąk i podrzucając ostatnią z puszek w dłoni, zapatrzyła się w widniejącą za oknem oranżerię. Słońce stało wysoko nad basenem i nie miało najmniejszego zamiaru zachodzić. Martyna bez nadziei na rychłe nadejście zmierzchu westchnęła ciężko, po czym z ociąganiem odłożyła puszkę do lodówki.